Rok I. Lublin, 31 maja 1925 r. № 22.



TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.



Taki był straszny widok po walce powstańców z moskalami w r. 1863. Obraz ten wykonał znakomity malarz polski, Artur Grottger.

Dla Twego szczęścia, Narodzie!

Straszny obraz Grottgera, dający widok pobojowiska wkrótce po stoczonej walce polskich powstańców z moskalami w r. 1863, może z powodu swej grozy wyda się komu nieprawdopodobnym.

A jednak artysta-malarz nic od siebie nie dodał okropniejszego nad rzeczywistość straszną. Mamy dowody na to w historji powstania.

Przytoczmy tu, jako przykład, opowiadanie uczestnika powstania styczniowego, niejakiego Władysława Zapałowskiego, który w swoich „Pamiętnikach" (2 tomy, wydane r. 1913 w Wilnie, bardzo zajmujące, warte przeczytania) między innemi przedstawił pobojowisko bardzo podobne do obrazu Grottgera.

Opowiadanie to podajemy tu w całości bez żadnej zmiany:

„Na kilka dni przed walką, którą opowiem—słowa Zapałowskiego — byłem w Radomiu w celu zobaczenia się z naczelnikiem miasta, p. Nowodworskim. Tam mi doniesiono, że rosjanie wybierają się na drugi dzień w Iłżeckie lasy na oddział Łady.

Wyjechałem natychmiast z Radomia, a dowiedziawszy się w Iłży od ks. T..., gdzie oddział powstańców obozuje, bez straty czasu tam się udałem. Spotkałem oddział w drodze,szli do Kunowa. Ładzie opowiedziałem o planach nieprzyjaciela. Postanowił zatem, nie czekając, przejść przez Kunów i udać się w lasy Świętokrzyskie, tem bardziej, że musiał unikać większego starcia, mając oddział powstańców jeszcze źle zorganizowany, mało broni, a co gorsza mniej jeszcze amunicji.

Trzeba i to wiedzieć, że o broń i amunicję bardzo było nam trudno,—kupowaliśmy ją na wagę złota, a pomimo to oszukiwano nas, przysyłając auszusy. Przytem trudna i niebezpieczna dostawa. To też ludzi mieliśmy dużo, ale nie było czem uzbroić. Zamiast broni palnej używano kos,— broń ta jednak przy dalekonośnych sztucerach nieprzyjaciół okazała się niepraktyczną. Czyniono potem zarzuty—napadano i psy wieszano na biednych naczelnikach partji, że źle się biją, że unikają starcia i darmo objadają okolicę... Ale obwiniający nie wiedzieli, że ci naczelnicy, ma się rozumieć, nie wszyscy, mając dwustu powstańców, mieli często na cały oddział dwadzieścia kiepskich dubeltówek, kilkanaście sztucerów bez bagnetów, a czasem półkurczy. Wszystko to trzeba było reperować. I czy tą bronią mogli się oprzeć silnemu, regularnemu i dobrze uzbrojonemu wojsku rosyjskiemu?....

Podano mi konia i razem z Ładą jechaliśmy naprzód oddziału, tworząc różne plany i projekta,—gwarząc co to dalej będzie, gdyż z zagranicy różne pocieszające wieści dochodziły, pełne otuchy i nadziei...

Namówiłem Ładę, że o trzy wiorsty od Kunowa zatrzymał się w Janiku, w osadzie podleśnego rządowego, ja zaś z podleśnym pojechałem bryczką do Kunowa zasięgnąć języka. Głównie, czy oddział mieć będzie bezpieczną drogę, aby mógł przedostać się w lasy Świętokrzyskie.

Przyjeżdżamy na most, który jest na kanale rzeki Kamionny i oddziela miasteczko od szosy, idącej z Wąchocka do Sandomierza. Od spotkanych przy moście pastuchów dowiadujemy się, że o nieprzyjacielu ani słychu. Zajeżdżamy zatem śmiało na plebanję. Jakież było nasze zdziwienie i przestrach, gdy na podwórzu ujrzeliśmy kozaków, ale nas nie spostrzegli, tak, że podleśny miał czas spiesznie wrócić nazad i dać znać Ładzie.

Łada zawiadomiony przez podleśnego natychmiast wyruszył z całym oddziałem i w innem miejscu próbował przejść szosę i dostać się w lasy Świętokrzyskie.

Zamiaru jednak w żaden sposób nie mógł wykonać, gdyż łańcuch wojsk rosyjskich rozciągnięty był na kilkunastuwiorstowej długości. Czas prędko schodził i nie pozostawało już nic, jak cofnąć się w głąb lasu, w znaną mu miejscowość niedostępną i otoczoną ze wszystkich stron bagnem. O północy dopiero zajął nowe stanowisko.

Nieprzyjaciel jednak dobrych miał przewodników i szpiegów... Wytropił Ładę i równo z brzaskiem dnia, korzystając z przymrozku, otoczył obóz powstańców, ukrytych w lesie, i rozpoczął ogień z ręcznej broni.

Łada, słysząc strzały, zrozumiał, że jest odkryty i otoczony. Pozostał mu jedyny środek ratunku: albo zginąć, albo całą siłą uderzyć w jeden punkt nieprzyjacielski i przedrzec się....

Wybrał drugi sposób,—tembardziej, że mając mało nabojów, nie długo mógłby utrzymać się w obozie.

Czas jednak dość długi odstrzeliwał się, wyczekując sposobnej chwili. Pragnął bowiem przekonać się, gdzie są najsłabsze siły. Tymczasem ogniwa łańcucha wojsk rosyjskich coraz ciaśniej i bliżej zaczęły otaczać obóz powstańców. Wtedy z okrzykiem: „Bracia, za mną," rzucili się naprzód ze śpiewem „Boga Rodzico..."

Łada na przedzie z karabinem w ręku, za nim cały oddział ruszył do ataku. Naraz zakotłowało się jak w garnku. Tu już strzały ucichły, porwano się za bary, bój wszczął się straszny. Każdy tu bronił swego życia.... Komenda ustała...

Łada z kilkudziesięciu towarzyszami przebił się i ujść zdołał od dalszej pogoni. Reszta oddziału została na pobojowisku...

Miasta u nas wszystkie trzymały z powstaniem i z tych głównie młodzież zapełniała oddziały. Kunów jednak najwięcej wyróżniał się swym zapałem.

Gdy wieść się rozeszła naprzód o bójce, a później gdy pastuchy przybiegli i opowiadać zaczęli, że dużo trupów i rannych leży w lesie, kilkanaście zaraz wozów pospieszyło z obywatelami miasta szukać rannych, a pośpiech był potrzebny, bo silne przymrozki jesienne mogły dobić nieszczęśliwych, w których może tlała jeszcze jaka iskierka życia.

Byłem na ten czas w Kunowie i pojechałem z byłym burmistrzem, Jakubem Kuczyńskim.

Niedaleko trzeba było jechać. O sześć wiorst od Kunowa w lesie znaleźliśmy pobojowisko, zlane krwią i pokryte trupami. Śnieg w wigilję katastrofy przyprószył ziemię.

Plac boju, otoczony gęstym lasem, a który przed paru godzinami był miejscem zawziętej walki —straszny przedstawiał widok.

Zebraliśmy zaraz czterdzieści kilka trupów nagich, porozrzucanych w różnych pozycjach po ziemi. Ten miał głowę przerąbaną pałaszem, a mózg z krwią zakrzepły zakrył twarz,—tu znów szczęka odcięta wisiała, tworząc jak gdyby drugą jamę ustną, przejmując trwogą patrzących. Tu znów twarzą obrócony do nieba, rozkrzyżowany wznak. Oczy straszne, otwarte... usta wykrzywione od strasznych męczarń konwulsyjnych konań...

Stanęliśmy, jak wryci na miejscu, — oddech zamarł w piersi..."

Teraz, gdy porównamy oba obrazy: narysowany przez Grottgera i opisany przez Zapałowskiego,— znajdziemy w nich podobieństwo ogromne! Widocznie obadwaj oni patrzeli na jednę i tę samą rzeczywistość straszną! Patrzeli nie suchemi oczami, nie zimnem sercem, lecz tak, że „oddech zamarł im w piersi", „stanęli jak wryci", — bo uderzył ich widok przerażający!.. Rozpacz załamała ręce, a zgroza, osłupienie, żal i niemy ból duszy oblekły ich twarze niezmiernym smutkiem, skurczem, wyrzutem, skargą i niemal buntem dotkliwym, bo bezsilnym przeciw strasznej niesprawiedliwości i dzikości wrogów narodu!.

Tę część lasu polskiego, gdzie stoczono bitwę rozpaczliwą — i gdzie legły pokotem liczne trupy dzielnych powstańców naszych, słusznie wyobrażamy sobie jako ołtarz ojczyzny, na którym najgorliwsi polacy złożyli swoję ofiarę najcenniejszą, -- bo ofiarę serca, katuszy i życia własnego...

Czy może który rodak zdobyć się jeszcze na cenniejszą ofiarę dla szczęścia swego narodu?

Ci nasi rodacy, którzy tam polegli, jako waleczni, nieustraszeni, pełni poświęcenia, — oddali siebie całkowicie, bez żadnych zastrzeżeń i wymagań... narodowi swemu...

Wyrzekli się młodości, zdrowia, rodziny i szczęścia doczesnego... Tylko nie wyrzekli się Boga, bo szli do bojów z kapłanem i krzyżem na czele..! Tylko nie wyrzekli się wiary, bo mieli w pamięci słowa Chrystusa: „Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni"... Tylko nie wyrzekli się ojczyzny, a ona w niewoli, woła do nich, jak matka, o pomoc!... Tylko nie wyrzekli się swego narodu, który jęczy, dręczony przez okrutnych wrogów...

Przejęci serdecznie niedolą ojczyzny i narodu, chwycili za broń! W tym zapale ofiarnym złożyli wierne ślubowanie Bogu i Narodowi:

Za Twoję, Boże, sprawiedliwość — i za Twoję, Narodzie, krzywdę — umieramy, a zwyciężymy!... Krew nasza nie przepadnie,... ona stanie się posiewem wolności Narodu, — niepodległości Ojczyzny... Więc swoje życie i swoje szczęście osobiste oddajemy:

dla Twego szczęścia, Narodzie!..

My umrzemy w mękach okropnych, abyś Ty żył wolny, mocny i szczęśliwy!...

Tak przemawia do nas ten obraz pobojowiska okropny, a tak dla nas drogi, tak święty i tak zaszczytny, jak świętą jest miłość, a zaszczytną serdeczna ofiara dla szczęścia własnego Narodu!...

Więc my, żyjący polacy, jesteśmy kochani przez bardzo wielu braci naszych. Oni pragną dla nas szczęścia, wolności i chwały... Nietylko pragną, ale nawet gotowi są każdej chwili za broń chwycić i walczyć, cierpieć i umrzeć w obronie naszej!..

Nietylko gotowi dopiero, ale już bardzo wielu z nich spełniło swoję ofiarę wielką i świętą!.. Toć oni wywalczyli nam wolność! Szli i szli bez końca do walki jak bohaterowie, jak męczennicy za wielką sprawę wolności ojczyzny i za szczęście swego narodu.

Tyluśmy mieli tych bohaterów i męczenników: tysiące, miljony!.. Szli do boju mężnie i ofiarnie. Szli na śmierć okropną bez trwogi. Szli, prowadzeni miłością narodu, pragnieniem wywalczenia mu wolności, szczęścia i chwały! Nigdy nie cofali się! A przecież szli jak gdyby maluchni i słabo uzbrojeni przeciw Goljatowi okrutnemu, mściwemu bez miłosierdzia! Szli naprzód jednak bez wahania, jakkolwiek zawczasu wiedzieli, jakie męczarnie czekają na nich: męczarnie na pobojowisku, w kazamatkach, w lochach więzień ponurych, na Syberji, w katordze, na szubienicy...

Wszyscy oni w cierpliwem znoszeniu męczeństwa za szczęście narodu własnego, byli wytrzymals nawet od okrucieństwa wrogów..

Wrogowie nasi wysilali się na zadawanie mąk strasznych, na pełne grozy sposoby przerażenia i odwodzenia polaków od dalszych walk o wolność i niepodległość narodu,... I nigdy nie zdołali polskiej duszy nieustraszonej zniechęcić, obezsilnić, upodlić.. Nie mogli zalać w niej ognia miłości narodu, ostudzić zapału do walki bohaterskiej i—ofiary całkowitej.

Każda taka dusza polska wołała do wrogów narodu:

„Wy nas nie zgnębicie, nie pokonacie, ani unicestwicie!.. Nigdy nie zginiemy, bo gdy jedni z nas odejdą, umęczeni przez was, — zaraz ich miejsce zajmą inni, również gotowi z jednakim zapałem i zaparciem się siebie walczyć. I tak działać będziemy bez przerwy, idąc do boju z wami aż musi Naród nasz odzyskać niepodległość, stać się mocnym, szczęśliwym i szanowanym przez świat cały!"...

Tak mówiły wielkie zastępy naszych rodaków bohaterskich, ofiarnych, którzy w ciągu bardzo długiej niewoli walczyli z wrogami naszemi, znosili od nich straszne katusze, ale nigdy nie trwożyli się, nie cofali,.. ciągle szli naprzód, ustawicznie wrogów niepokoili, aż wreszcie doczekali tej chwili pomyślnej kiedy pokonali go calkowicie i już zdjęli okowy z Narodu ocalonego!

Tak wytrwale cierpieli i walczyli po bohatersku rodacy nasi dla uszczęśliwienia nas!..

A my? I my, żyjący, również jesteśmy gotowi walczyć i umrzeć dla szczęścia narodu!

Atoli czy szczęście zdołamy narodowi swemu zapewnić jedynie naszą walką bohaterską i śmiercią męczeńską?

Nietylko! Bo również niezawodnie możemy

mu przysporzyć istotnego dobra, pomyślności i szczęścia własną pracą mądrą, pomysłową i niezmiernie ofiarną.

Jest więc czas, kiedy dla ocalenia swego narodu wszyscy musimy być gotowi do walki bohaterskiej, nie lękać się męczarni i śmierci....

To znowu bywa czas, kiedy rozum i serce mówią nam: wysilajcie się na doskonałe pomysły i plany — i najpracowiciej, najmozolniej wykonywajcie je, nie oglądając się ani na nagrodę, ani na podziękę, jedynie kontentując się cichem sumienia swego świadectwem, żeście uczynili wszystko, co w waszej było mocy dla pomnożenia i utrwalenia szczęścia swego Narodu!...

Kiedy trzeba, bądźmy gotowi umrzeć na placu boju! A znowu kiedy trzeba, bądźmy gotowi zapracować się ofiarnie, zawsze

dla Twego szczęścia, Narodzie!..

Tak mówi polska dusza, miłująca Ojczyznę i Naród.

Obecnie Naród dla swego szczęścia wymaga od każdego z nas wielkiej i ofiarnej pracy: w zakładaniu wielu czytelni publicznych, straży ogniowych, szkół powszechnych i zawodowych, w budowaniu dróg bitych i żelaznych, w tworzeniu handlu i przemysłu polskiego!..

Tyle bowiem potrzeb jeszcze dziś trapi nasz naród! Tylu przecież jeszcze mamy u siebie analfabetów! Tylu łaknących dobrej książki i gazety do czytania w chwilach wolnych! Tyle miast i wiosek pali się rokrocznie bez ratunku, bo strażych ogniowych nie mają! Tyle dróg strasznych, niemożliwych do przebycia w ciągu większej części roku i wskutek tego znaczne obszary kraju naszego nie mogą podźwignąć u siebie rolnictwa, ogrodnictwa, mleczarstwa, przemysłu i handlu... Wielkie prowincje upośledzone, jakgdyby deskami odgrodzone od świata pracy ekonomicznej i oświatowej tylko z powodu swoich dróg szkaradnych!... I tylu jeszcze mamy u siebie kupców i przemysłowców obcych, a wrogich Polsce! A tymczasem nasi rodacy, pozbawieni pracy, muszą, jako wyrobnicy, udawać się w obce strony za chlebem, bo u siebie, w ojczyźnie, jeszcze nie potrafią trudniejszych, zawodowych prac wykonać! Nagwałt tedy dla naszej młodzieży jaknajwięcej należy otwierać szkół zawodowych w całej Polsce!

Tyle przeto obywatelskiej pracy mądrej trzeba ofiarnie spełnić dla szczęścia narodu naszego, ażeby on przez nią stał się światlejszy, uczeńszy, bezpieczniejszy, pracowitszy, zamożniejszy, mocniejszy i—nareszcie dostatecznie szanowany przez wrogów i przez niektóre narody dumne, które dotychczas jeszcze lekceważą go boleśnie i krzywdząco...

Naród nasz my, wszyscy polacy, musimy uczynić szczęśliwym! Musimy, bo go miłujemy, bo on nasz rodzony, własny! Miłujemy go tak, jak owi powstańcy, którzy dla wywalczenia mu szczęścia, ochotnie ponieśli śmierć męczeńską w bojach z jego wrogami!

Ci powstańcy, sposobiąc się do spełnienia swej ofiary, nie potrzebowali zachęty, lub prośby od narodu dla siebie, nie pożądali nagrody, odznaczeń, zrozumienia, żadnych nie wnosili pretensji, grymasów, —szli sami z zapałem, z ogniem w sercu, z gotowością na wszelkie męki! Już zawczasu wyrzekli się swego zdrowia, szczęścia i życia, całkowicie ofiarowali siebie dla szczęścia swego Narodu, nic wzamian za to nie żądając od niego...

A my? Wobec tych bohaterów - męczenników jacy jesteśmy ubożuchni moralnie! Zapewne do nas można zastosować te słowa Mickiewicza:

Bez serca, bez ducha — to szkieletów ludy!
To samoluby!

Ciągle targujemy się z narodem! Lubimy mówić: „nie warto pracować dla ogółu,“ — „nie warto poświęcać się, bo na tem nikt się nie pozna, nie oceni, nie poszanuje,..“ „nie warto, bo to wszystko napróżno.“

Kłócimy się, podejrzewamy wzajemnie i szukamy przedewszystkiem zadowolenia swoich słabostek i rachub... A jakoś o szczęściu narodu myślimy złośliwie, albo nawet szyderczo...

Takie niemoce zaczęły żreć duszę polską. Te niemoce— to zaraza straszna, zaszczepiona umyślnie przez wrogów naszych. Oni chcą nas zgubić w sposób iście szatański. Nie mogąc pokonać nas bronią i szablą,—chwycili się zatrucia duszy naszej zarazą niezgody, sobkostwa, szyderstwa, lekceważenia powinności obywatelskiej! Usiłują przebiegle ostudzić w nas świętą miłość narodu, stłumić zapał bohaterski do ofiarowania siebie dla szczęścia narodu.

Musimy dusze nasze bronić przed tą okropną zarazą moralną. Dla ocalenia siebie przed nią, dobrze jest bodaj duchowo odbyć pielgrzymkę do takich ołtarzy Ojczyzny, jak to pobojowisko w lesie, przedstawione ręką znakomitego artysty naszego, Grottgera.

Popatrzmy z czcią serdeczną na ten ołtarz i wsłuchajmy się w ciche wyrzuty, skierowane ku nam od tych naszych bohaterów-męczenników!

Oni siebie ofiarowali dla uszczęśliwienia narodu!

A dziś między nami podobno nawet niemało jest takich rodaków, którzy radziby przyczynić się do unieszczęśliwienia swego narodu!...

Nikczemni. Jednak nie dopną swego celu zbrodniczego. Bo zostaną obezwładnieni i pokonani przez tych rodaków, którzy serdecznie miłują swój naród! A takich jeszcze, dzięki Bogu, naród nasz ma niezmiernie dużo — wiele miljonów!.. Owszem, liczba ich ciągle rośnie! Trzeba jednak, żeby w nich również ustawicznie rosła miłość i ofiarność dla szczęścia narodu!

Zatem dobrze jest coraz wspomnieć o tych mnogich bohaterach - męczennikach, którzy całkowicie poświęcili się dla szczęścia narodu!...

Wspominajmy o nich często — i powtarzajmy słowa Mickiewicza, jako hasło wszystkich polaków gorliwych:

Razem, młodzi przyjaciele!..
W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele...

Ale jeszcze nastręcza się natarczywe pytanie: A czy ci bohaterowie męczennicy, cierpiąc dla narodu, mówili sami o sobie, że są szczęśliwi?

Godzi się domyślać, że tak. Domysł swój opieramy na słusznem przypuszczeniu: przecież dobrowolnie, ochoczo i nawet z zapałem szli z bronią w ręku na wroga ojczyzny: chcieli cierpieć i umrzeć dla szczęścia narodu! Widzieli przeto swoje szczęście w tem, że mogą poświęceniem siebie zdobyć wolność, a więc uszczęśliwić swój naród!..

Cierpienia, mozoły, utrudzenia nic a nic nie umniejszają szczęścia spodziewanego, lub już doznawanego. Owszem, one nawet nadają mu urok, moc i trwałość wielką....

Przecież ojciec, matka, żołnierz, pracownik najchętniej znoszą wszelkie udręki, gdy bardzo umiłowali tych, dla których się poświęcili i dla których pragną szczęścia.

Oni w uszczęśliwieniu ich spodziewają się znaleźć swoje szczęście! Nawet w swoich staraniach, wysiłkach, ofiarach, czynionych dla uszczęśliwienia innych, sami doznają błogiej otuchy, zachęty, szczęścia, co właśnie tem mocniej skłania ich do wytrwania w ciężkim znoju, w niedoli bolesnej, aż zwyciężą i cel swój osięgną!

Radosna prawda tkwi w tym powszechnym nakazie chrześcijańskim: **bądź dobry!**

Bo wszakże dobry czyni innym dobrze i w ten sposób niezawodnie przyczynia się do ich uszczęśliwienia. Dość mu o tem niekiedy pomyśleć, a już doznaje cichej radości, która dodaje mu otuchy, gasi smutek, zniechęcenie...

Dobry i szczęście, to jak gdyby przyczyna i skutek,—ogień i ciepło.

Przeto ścisły istnieje związek między nakazem chrześcijańskim i hasłem Mickiewicza:

W szczęściu wszystkiego narodu—są wszystkich rodaków cele.

Tak każdy polak dobry szczęście swoje widzi w szczęściu swego Narodu.

Zresztą nietylko widzi. Bo każdy gorliwy polak, spełniając wszelką powinność obywatelską, ma jeden przed sobą wytknięty cel chwalebny: uczynić dobrze

dla Twego szczęścia, Narodzie!

Mój zmarły przyjacielu!

Mój zmarły przyjacielu,
zabity kulą wrażą!
zostało nas niewielu:
jednym już brzozy gwarzą,
a inni znów odstali —
nie mieli serc ze stali.

Myślałem: jakże tobie
samotno tam i ciemno
w żołnierskim twoim grobie, —
gdy stajesz wraz przedemną
w wieczornym mroku blady,
na piersiach krwawe ślady.

Na twej zapadłej twarzy
śmiertelne widać znoje,
lecz wzrok się ogniem żarzy,
choć milczą usta twoje,
wżdy mówią twoje rany
i mundur poszarpany.

Mówią mi dziwne rzeczy,
sny sercu dziwne roją,
którym gdzieś ktoś złorzeczy
i które śnić się boją
patrzące z lękiem sowy
w brzask dzienny, purpurowy.

Mówią mi o Wolności
i głoszą Zmartwychwstanie,
za które młode kości
złożyłeś ty w kurhanie,
za które jeszcze rzeką
krew, pot i łzy pocieką....

Na dworze świt jesieni
padł na pobojowisko —
i nikniesz w ciemnej sieni,
daleko a tak blizko....
wtem sieni drzwi zadrżały —
za oknem słychać strzały.

Tam biją się żołnierze,
moi, brzmi głos komendy:
tam, bracie mój, pobieżę —
tam, w okop wraży kędy
honoru głos mnie woła,
jak skrzydeł szum anioła....

Niechaj się gdzieś tam karły
w puch bezczynności tulą, -
my, przyjacielu zmarły,
zabity wrażą kulą,
wytrwamy do ostatka,
aż śmierć utuli, matka!

Aż zjawi się, — co we śnie
śniliśmy długie lata, —
aż Polska z hańby wskrześnie,
promienna i skrzydlata
jak niegdyś Chryst z mogiły —
i świat odrodzi zgniły!..

Józef Relidzyński.

Bez pragnienia człowiek byłby bezczynnym i martwym; bez rozsądku czyniłby źle i dobrze bez różnicy; — bez cnoty byłby myślącym głazem wśród zaludnionego świata.

Józef Supiński.

Znaczenie morza.

Na całej kuli ziemskiej — pisze profesor Franciszek Bujak — morze zajmuje 72 procent powierzchni, a ląd zaledwie 28 procent. Nawet największe obszary lądu przedstawiają się jak wyspy wobec ogromu morza, które je ze wszystkich stron oblewa.

Morze najbardziej zbliża ludzi i tworzy najsilniejszy między niemi łącznik. Morze jest najbardziej uczęszczanym przez ludzi gościńcem, bo jest najtańszym po wszystkie czasy środkiem komunikacji. Były nawet okresy dziejów, kiedy podróż morska była nietylko tańsza, ale i szybsza od podróży lądowej.

Droga morska ma jeszcze tę cudowną, a dla dróg lądowych niedościgniona własność, że prowadzi we wszystkich kierunkach i bezpośrednio na cały świat. Otwierając dostęp wszędzie, zachęca do bezpośrednich i stałych stosunków z najodleglejszemi stronami świata, a nawet nagli do tworzenia osad zamorskich (tak zwanych kolonji) i zdobywania panowania na dalekich obszarach, ważnych pod względem handlowym.

Historja zarówno starożytna, jak średniowieczna i nowożytna przekonywa, że ludy, osiedlone nad morzami, wprędce stawały się biegłe w naukach, zaradne, zamożne i mocne.

Wpływ morza na ludy nadmorskie jest bardzo widoczny i wielce korzystny.

Morze — tak pisze uczony prof. Bujak — daje im szeroki oddech piersi, jasne spojrzenie i nieograniczony niczem horyzont dla myśli i czynów zarówno ich kupców, jak polityków, jak wreszcie i uczonych. Morze zbliża ich, styka z całym światem, łatwo sobie przyswajają wszystko z czem się zetkną, czy to surowce, czy postępy techniki, czy nowe idee.

Równocześnie świadomość swojej wartości i zaufania do swych sił wyrabia w nich poczucie swej wyższości i przywiązanie do swej kultury i urządzeń, słowem silny patrjotyzm, tak charakterystyczny dla greków, jak i dla anglików. Do cech narodowych dołączają się rysy realizmu, t. j. postępowości i światowości w charakterach narodów żeglarskich. Życie ich jest szybsze i bogatsze, a twórczość znaczenie większa, niż społeczeństw kontynentalnych (lądowych).

Tak w dawnych czasach fenicjanie, lud liczebnie drobny, gdy osiedlili się nad morzem Śródziemnem, rychło zasłynęli jako bardzo ruchliwi, przedsiębierczy kupcy i żeglarze. Już niebawem opanowali całe morze Śródziemne, wszędzie było ich pełno. Parci duchem przedsiębiorczym, przekroczyli obręb morza Śródziemnego, dotarli do Anglji, poszukując cyny — i do wybrzeży niemieckich, szukając bursztynu, opłynęli Afrykę i odkryli złotodajne kraje Ofir i Punt na wschodnich wybrzeżach tej części świata (dorzecze Zambezi).

Albo przypatrzmy się działalności kupieckiej i żeglarskiej greków, którzy na tysiąc sto lat przed Chrystusem osiedlili się na wysepkach egejskich i na wybrzeżach Azji Mniejszej, a w ciągu ósmego wieku przed Chrystusem docierają do wszystkich zakątków morza Śródziemnego, zakładają liczne kolonje i wreszcie swoją zabiegliwością prześcigają fenicjan.

Następnie zjawili się rzymianie, bardziej jeszcze zabiegliwi, a politycznie przebiegli—i im udało się zczasem ująć w swe ręce władzę nad Grecją, oraz nad wszystkiemi brzegami morza Śródziemnego.

Życie gospodarcze i umysłowe rzymian skupiało się na wybrzeżach morskich, które były gęsto zaludnione, gdy przestrzenie dalej od morza położone były dosyć puste. Stolica państwa rzymskiego, sam Rzym, był wprawdzie miastem lądowem, ale położony nad dużą rzeką, korzystał z niej w dosyć znacznej mierze dla niezmiernie rozległych stosunków handlowych, których główną podstawą był wielki port morski, Ostia, u ujścia Tybru.

Wszystkie późniejsze stolice państwa rzymskiego leżały nad morzem. Tak Salona (dziś Split, Spalatto) na wybrzeżach dalmackich, stolica cesarza Djoklecjana i Nikomedja nad Propontydą (dziś morze Marmara), którą wkrótce na stałe zastąpiło pobliskie Bizancjum, przemianowane na Konstantynopol na cześć cesarza Konstantyna Wielkiego. Kiedy pod koniec państwa zachodnio-rzymskiego Rzym przestał być stolicą Italji, to stanowisko to przypadło Rawennie, położonej nad morzem Adrjatyckiem.

Prawie wszystkie większe miasta państwa rzymskiego były portami morskiemi. Największem po Rzymie miastem była Aleksandrja, stanowiąca nietylko główny port Egiptu, ale i główne ognisko handlu między morzem Śródziemnem, a oceanem Indyjskim, handlu, sięgającego aż do wysp Sundajskich, a nawet pośrednio do Chin.

Po Aleksandrji najważniejszym portem we wschodniej części morza Śródziemnego była wyspa Delos, leżąca w połowie drogi między Efezem i Rodos, a Atenami i Koryntem.Ześrodkował się tu handel morza Czarnego i Egejskiego z resztą państwa rzymskiego (głównym towarem byli niewolnicy). Po tych dwóch portach wymienić należy w głębi morza Adrjatyckiego Akwileję, której rolę objęła w średnich wiekach Wenecja, a w ostatniem przed Chrystusem stuleciu Tryjest, dalej Syrakuzy na Sycylji, Neapol w Kampanji, Marsylję u ujścia Rodanu, Gdes (dziś Kadyks) poza cieśniną Gibraltaru i starą Kartaginę w Afryce.

Że znaczeniem tych miast nadmorskich nie mogą się równać miasta lądowe, jak Damaszek i Palmira w Syrji, Sirmjum i Carnuntum nad Dunajem, Medjolan nad Padem, Lugdun (Lion) nad Rodanem, lub wreszcie Colonia Agrippina (Kolonja) nad Renem.

Jedność polityczna i kulturalna morza Śródziemnego, tak doniosła dla szybkiego rozszerzenia się chrześcijaństwa, rozpadła się po kilku wiekach istnienia pod naporem barbarzyńców ze wschodu (ludy mongolskie) i z północy (ludy germańskie) i nie powtórzyła się już więcej.

Jakie korzyści arabowie ciągnęli z morza, o tem za tydzień.

Nie ten jest prawdziwie mężnym, kto męstwo okazuje we własnej obronie, ale ten, kto je okazuje w obronie drugich.

Legatowicz.

Cześć Wam, Strażacy!

Woda do zagaszenia pożaru—niezbędna.

Ale na to szklanka wody nie wystarczy. Musi być jej obfitość—i to pod ręką, bardzo blisko budynków.

A więc studnia powinna być bodaj w każdym pówórku!

— Ach jaka to wygoda wielka:—studnia przy domu!—Tak woła gospodyni, uśmiechając się przymilająco do męża, bo w ten sposób chce dać mu do zrozumienia, że jeśli ma zasłużyć u swej żony na pochwałę, powinien czemprędzej urządzić u siebie studnię—i to nie byle jaką, ale z rurą żelazną i pompą, chodzącą lekko, tak, żeby nawet dziecko łatwo mogło naczerpać wody do cebrzyka.

— O, jeszcze czego!—odpowiada mąż, udając nadąsanego. — Przy łatwem pompowaniu dzieciaki będą ciagle chlapały się w wodzie, narobią mi błota i wreszcie popsują studnię!..

Jednak myśl o studni podobała się gospodarzowi... On doskonale rozumie jej wieloraki pożytek w gospodarstwie. Co za wygoda studnia pod rę-

ką,—woda na poczekaniu w każdej potrzebie. A tych potrzeb coniemiara! Bez wody nikt się nie obejdzie. Każde żyjące stworzenie co raz to jej pożąda. A jak ona przyda się na wypadek, nie daj Boże, pożaru!..

Mając studnię pod bokiem, już w mgnieniu oka można zalać początek pożaru!

Prawda! Jednak najczęściej tak bywa, że sami domownicy nie dadzą sobie rady z gaszeniem ognia, bo zazwyczaj tracą przytomność, przerażenie ich ogarnia i mąci im myśli. Nie wiedzą, co czynią, tylko podnoszą krzyk wielki—straszny!

A gdy go usłyszą sąsiedzi, wnet domyślają się, że coś złego stać się musiało u kogoś, więc wybiegają czemprędzej na ulicę i — spieszą z pomocą. Wszczyna się zbiegowisko, zgiełk, krzyk, lament, nawoływania, jęki i ciężkie a głośne oddechy, zwyczajnie, jak w nieszczęściu, gdy ono spadnie na ludzi nagle. Wtedy niemal wszyscy tracą rozwagę, a wielu jednocześnie przystępuje do gaszenia pożaru i rozumie się, każdy po swojemu. Wszyscy mówią razem, wydają rozkazy najsprzeczniejsze, spierają się, kłócą, wymyślają sobie. Harmider okropny,—a ogień jak gdyby naprzekór im, coraz śmielej w górę bucha i rozszerza swe skrzydła straszne, niszczycielskie! I gdy jeszcze napotka na swej drodze takich swoich sprzymierzeńców, jak: słomę, wióry, konopie, zapas nafty na górce i deski, jak pieprz suche, — oho, już natenczas tak się ogniste jego języki rozhulają, że resztę przytomności odbiera ludności, drepcącej dokoła niego!

Wtedy wielu opuszcza ręce, poprostu patrzą na ogień w niemem osłupieniu! Wielu odchodzi na stronę przerażonych, mając jakiś ból głuchy w sercu i żal rozpaczliwy, jak w nieszczęściu ostatecznem. A reszta tłumu na widok rosnącego pożaru ucieka ku swoim domostwom niby dla ratowania swego mienia.

I znowu dzieje się z niemi to samo: bo w przystępie trwogi poprostu głupieją, więc nie wiedzą, co czynią i najczęściej ratują to, co ma wartość małą, a niszczą, lub zostawiają na miejscu sprzęty cenniejsze.

A ogień czasu nie traci,—korzysta z powszechnego ogłupienia, zamętu i kłótni bezczynnych,—ciągle rośnie i rozprzestrzenia się bodaj tak szybko, jak kurzawa, gnana wichrem.

Już dzieje się klęska! Już mieszkańcy wybuchają przeraźliwym szlochem i jękiem, bydło ryczy, dzieci wydają pisk, ściskający najtwardsze serca!— A ogień w orszaku kłębów wielkiego dymu, trzasku iskier i huku, zapadających się belek, — jak gdyby zadowolony hyhocze przejmującym przeciągiem, lub parskaniem: tak obejmuje swe panowanie nad całą wioską!

Starsi bladzi, wystraszeni, zgnębieni, załamując ręce już przepowiadają dla swoich zagród zagładę.

— Zginęliśmy! Niema dla nas ratunku. Wszystko stracone! Ogień zniszczy nam wieś całą. Tylko patrzeć, jak przerzuci się na resztę domów. A wicher mu pomaga, jak namówiony!...

W tem nagle do uszu nieszczęsnej ludności doleciał głos trąbki, naprzód dość cichy, potem coraz wyraźniejszy, przybliżający się ku wiosce, stojącej w płomieniach.

Dzieci, ciekawe, skąd głos trąbki pochodzi, wybiegły za wieś popatrzeć na drogę. Niebawem spiesznie wróciły do starszych z wiadomością, że strażacy co koń wyskoczy jadą z ratunkiem!...

Jakoż za moment wpadło ich kilka oddziałów ze wsi sąsiednich. Prawie razem wszyscy spotkali się na jednej drodze i dlatego jenocześnie przystąpili do gaszenia pożaru.

Zuchy! Było ich około osiemdziesięciu. Mieli z sobą cztery sikawki, dziesięć beczek i wiele innych narzędzi niezbędnych. Zaraz nad niemi objął komendę wytrawny naczelnik, zarządził składnie, co każdy ma robić i w mig wszyscy stanęli na swych pozycjach.

Zaczęła się teraz dopiero prawdziwa walka z ogniem. Płomienie, oblewane wodą z sikawek, zasyczały złośliwie, jak żmije! Jednak wprędce musiały spokornieć, przycichnąć i — przygasać...

Już może z godzinę trwało zmaganie się strażaków z ogniem, kiedy któryś starzec widocznie tutejszy, zdala przypatrujący się działaniom straży, nagle krzyknął: „Jezus Marja!" i runął na ziemię...

Zaraz dokoła niego zrobił się zamęt, płacz i nawoływanie do ratunku. Wszystkim się zdawało, że starzec już umarł niespodziewanie. Jednak ktoś z tłumu, przytomniejszy, zaczął odpowiednio cucić leżącego — i po niejakim czasie starzec, westchnąwszy kilka razy, oczy otworzył, uniósł się sam i nawet usiadł na murawie. Wtedy ktoś z tłumu, ciekawy, zadał mu takie pytanie!

— Macieju, co wam było, żeście tak nagle zachorowali?

— Co miało być? — odparł pomału i przyciszonym głosem — zwyczajnie, żałość mnie zdjęła wielka! Już myślałem, że wszystka nasza wioska pójdzie z dymem. Ale kiedym popatrzył na tych naszych dobrodziejów strażaków, jak oni otoczyli płomienie, jak jęli je gasić hyżo, a tak przemyślnie, zaraz wstąpiła we mnie nadzieja, że, ehe! nie zginiemy do szczętu!.. I wtedy ogarnęła mnie rzewliwość, niby radosna, ale zaraz boleśnie ścisnęła mi serce, więc nagle osłabłem, same nogi zgięły mi się, przed oczami zrobiło się ciemno —, i już nie wiem co dalej stało się ze mną!

Gdy Maciej odpoczął nieco i napił się wody zimnej, wtedy powstał, zbliżył się do większej gromadki, zapatrzonej na pracujących strażaków—i tak się do wszystkich odezwał głośno:

— Nie dziwujcie się, żem stary omdlał z radości i zdumienia! Nigdy przecież oczy moje nie widziały takiego zjawiska! Tyle lat żyję na świecie. Bóg mnie chronił od ognia. Dopiero teraz przekonałem się, jaka to okropna klęska i jaka to siła— płomień. Jednak Wszechmocny Bóg potężniejszy od swego stworzenia! I na ogień dał ludziom sposoby! Uważnie przypatrywałem się tym strażakom dzielnym. I przyszło mi na myśl, że pierwszy pomysł do urządzenia straży ogniowej pochodzi nie od rozumu, ale od chrześcijańskiego serca, które miłuje swoich bliźnich i chce ich ratować w nieszczęściu!

Toć przecie sam rozum nie zdobyłby się na takie przedsięwzięcie. Chyba tak! Rozum zdawna

ludzie mają wszyscy. Ale nie wszyscy mają serce, przejęte miłością chrześcijańską... Kto pierwszy wpadł na myśl stworzenia straży ogniowej, ten, zaprawdę, odznaczał się gorącą miłością bliźniego, ten pojął wielką szkodę, jaką pożar ludziom wyrządza — i zapragnął ją od nich odwrócić.

I to mu się udało, gdy straż ogniową założył. Jednak nie wiele stąd byłoby pociechy dla ludzi, gdyby taki miłośnik bliźniego był tylko jeden na świecie.

Jeden może straż stworzyć, ale jeden jej nie zapełni, ani poprowadzi, ani rozpowszechni wszędzie! Takich miłośników uczynnych i ofiarnych musi być mnóstwo!..

I to ogromną daje mi pociechę, radość niezmierną, że właśnie jest ich bardzo dużo! Do straży ogniowej widocznie garną się prawdziwie miłością bliźniego przejęci rodacy ofiarni, uczynni, gotowi do wszelkich mozołów i udręczeń!

Oto popatrzcie teraz — woła Maciej, wskazując licznych strażaków, zmęczonych gaszeniem ognia —na tych naszych dobroczyńców! Przybyli do nas zdaleka z wielkim pośpiechem. Obcy nam oni, nieznani! A jak gorliwie ratują! Toć rodzony brat możę nie okazałby nam takiej przysługi!.. Ratują bezpłatnie, nie proszeni, nie wołani! Ratują znakomicie, umiejętnie, sprawnie — i spojrzyjcie, czego oni tu już dokonali!.. Ogień dogasa!.. Więcej, niż połowa wsi naszej ocalona!.. A gdyby ich tu nie było, już do tej pory nikt z nas nie miałby dachu nad swoją głową!..

Bogu i tym strażakom zawdzięczamy ocalenie tylu zagród naszych!...

Ach, złóżmy Bogu Najwyższemu dzięki, że tylu ludziom dał tak poczciwe serce!...

Słowa te wymawiając rzewliwie, stary Maciej pobożnie zdjął czapkę i schylił głowę na znak czci przed majestatem Boskim i ofiarnością serca bratniego!

Gromada za przykładem starca również to samo uczyniła.

Gdyż już pożar stłumiono, jeno jeszcze na wielkich belkach pełzały płomyki, a w wielu miejscach długie resztki zrębów zwęglone czerwieniły się, jak brzeżek nieba zaraz po zachodzie słońca, Maciej, a za nim gromada miejscowej ludności, podszedł do strażaków i głośno a ładnie w imieniu całej wioski im podziękował.

Gdy skończył, gromada podjęła jeden okrzyk:
— Cześć wam, strażacy!

Za chwilę paru gospodarzy z tego końca wsi, który ocalał od pożaru, podeszło do naczelnika straży ogniowej i jęło go prosić, by pozwolił im ugościć wszystkich strażaków bodaj mlekiem, chlebem i miodem.

— Co mamy w spiżarni, to wszystko wam na posiłek z serca dajemy! — rzekł jeden z ocalonych. —Waszej pracy ofiarnej a mozolnej zawdzięczamy to, że mienie nasze zostało nie dotknięte pożarem.

— Cześć wam, strażacy! — Znowu gromada gromko wyraziła swoje podziękowanie strażakom za trudy.

Strażacy usiadłszy, gdzie kto mógł, pożywali chleb i popijali mlekiem. Gwarzyli wesoło, a radość rozlała się na ich twarzach. Byli zadowoleni ze spełnienia swego obowiązku strażackiego pomyślnie. Prędko uporali się z ogniem. Ratunek szedł porządnie i mądrze uplanowany. Udało im się kawał wsi oszczędzić — i widzieli w zachowaniu się całej gromady, że jest im wdzięczna i umie ocenić ich przysługę i dzielność.

Niejedna tutejsza niewiasta, krając im chleb z bochenka i podając życzliwie, patrzała na nich jakgdyby zazdrośnie. Z jej wzroku można było wyczytać żal i urazę do swego męża, czemu on nie jest takim, jak oni strażakiem?

I niejedno dziewcze hoże ładnemi swemi ślepkami zerkało na dorodnych strażaków, a niechybnie myślało, że radeby pokochać i wyjść tylko za takiego młodzieńca, który potrafi tak jak ci świetnie, zgrabnie i pomyślnie uwijać się przy gaszeniu tego strasznego krzywdziciela—ognia!

Za to tutejsi młodzieńcy kryli się po za gromadą... Było im dziwnie nieswojo! Stracili śmiałość. spokornieli! Czuli bowiem wyrzuty w duszy! Oto gdzieindziej młodzi potrafili stać się strażakami znakomitemi, pięknie uczynnemi po chrześcijańsku—i nawet zdaleka pośpieszyli z ratunkiem do was! A wy młodzi, tutejsi, bąki zbijacie, podpieracie płoty i ściany, głupstwami zapełniacie wszystkie swoje chwile wolne zamiast zjednoczyć się w straż ogniową i wyćwiczyć na doskonałych strażaków! Toć gdybyście sami byli strażakami, niechybnie nie byłoby nawet takiego pożaru, bo przecież na miejscu, mając pod ręką kilka studzien, zaraz zdołalibyście stłumić początki ognia! W tym sensie mówiło im sumienie własne... I nic nie mogli wymyśleć na swoję obronę, dlatego wstydliwie schodzili na stronę, trzymali się zdala od strażaków, ucieszonych skończoną pracą!

Usługiwali im starsi gospodarze, niewiasty, dziewczęta i dzieci.

Nareszcie zagrała trąbka naczelnika na znak do wyjazdu. Strażacy zgrabnie, karnie i szybko stanęli na swoich miejscach. I gdy drugą komendę wydał naczelnik, — odrazu wszyscy ruszyli w drogę, żegnani najserdeczniej przez całą gromadę tutejszą.

Długo—długo stała gromada, zapatrzona w oddalające się oddziały straży ogniowej.

Żegnała ich, jako najlepszych przyjaciół swoich nietylko wzrokiem i sercem wdzięcznem, ale i częstemi okrzykami, które długo dochodziły do uszu strażaków, zapewniając ich, że istotnie zasłużyli sobie swoją wielką ofiarą i pracą braterską na cześć serdeczną!

Więc raz jeszcze: **Cześć wam, strażacy!**

Cena prenumeraty: Bez odnoszenia: na cały rok 6 zł. na pół roku 3 zł., na ćwierć roku 1 zł. 50 gr., mies. 50 gr
Z przesyłką: na cały rok 8 złotych, na pół roku 4 złote, na ćwierć roku 2 złote.

Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — — Administracja w Bychawie.

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.